Nr. 23. We Lwowie dnia 9. czerwca 1901. Rok 10.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

MULTATULI.

Studjum z literatury holenderskiej.

To jest najkardynalniejszym, najszacowniejszym przywilejem dla nas, essayistów, od wielkiego praszczura Montaigne'a począwszy, że o ile tylko nam te niezwyciężone warunki życiowe pozwalają, stosując Montaigne'a dewizę życiową: *„doucement laisser couler la vie“*, chodzimy swobodnie po niezmierzonych kwitnących obszarach ludzkiego intellektu i jak piękne dziewczęta zrywają w słonecznych ogródkach ulubione swe kwiaty, tak i my do girlandy naszych ulubieńców, niedościgłych prototypów, dobieramy tylko tych, których goręcej ukochaliśmy i łatwiej zrozumieli. Każdy człowiek z otoczenia lubi chlubić się swą rodziną, chwali szczęśliwe związki krwi, dostojeństwa powinowatych; z jakąż dumą możemy więc mówić o wielkiej galerji przodków naszego ducha, tych, których portrety, mężów o szerokich czołach i głębokich oczach, sceptycznym grymasie ust, wyryte są nie w miedzi, ni w drzewie, ale w głębi duszy naszej, tęskniącej do poddańczego obcowania z dawno zmarłymi mistrzami. Wielki to przywilej essayistów, t. j. tych artystów, którzy nietylko mogą, ale powinni jak najdalej i najniżej odsunąć od siebie interes momentu i środowiska, choćby najszczerzej pojętego,—przywilej filozoficznego, to historycznego, to psychologicznego, a zawsze syntetycznego ujęcia fenomenalnych organizacji ukochanego żyjącego, czy zmarłego artysty, — przywilej mądrego ogrodnika, który wygrzebuje śliczne drzewko powoli, a umiejętnie z ziemi, w której wyrosło, a zasadza je w okrągły misterny klomb pod oknami swych panów, swych sympatji. Wiek XIX. najwspanialszych miał ogrodników swej umysłowości, np. Macaulaya, Emersona, Brandesa, Maeterlincka, a w ich pracę żmudną a subtelną zapatrzona, ich śladów dopatrując na szarych gościncach codziennej wegetacji i produkcji, idzie cała nieliczna zresztą rzesza, starszych i młodszych ogrodników. Wszyscy mają świetne wzory rysunkowe klombów, rabatów, formatów i kompozycji; wszyscy mają gotowe, świetne, skończone wzory nowej, czy odnowionej gałęzi sztuki krasopisarskiej. A kunszt zainteresowania ciekawości, rozentuzjazmowania uczuć i wyszlachetnienia gustu czytającego inteligentnie ogółu, polega tylko na tem, o ile w stare skórzane worki wlewa się wino z własnych piwnic, o ile ukochane i interpretowane postacie oświetla się indywidualnie, nie wpadając w konflikt z faktami biografji, twórczości, temperamentu, charakteru, o ile wogóle naśladując pisarskie gesta takich świetnych psychologów, stylistów i filozofów, jak Emerson czy Macaulay, O. Hansson czy Maeterlinck, Ryszard Meyer, czy Prohazka itp., nie przestaje się być... sobą. Essay indywidualny pisarza-artysty nie ma nic, a przynajmniej bardzo mało stycznych z essayem objektywnym, krociami produkowanym przez bezimiennych dziennikarzy. O Amiélu i Hoffmansthalu może równie szczęśliwie pisać: pani Ellen Key, F. Poppenberg i legion reporterów, dostarczających kolumn ordynarnych niedorzeczności i naiwnych krytykowań niemieckim manufakturom dziennikarskim; wspólny będzie wszystkim tytuł essayu, interpunkcja i gramatyka *„qui sait regenter jusqu' aux rois“* (Moliére: Les femmes savantes), zresztą nic. Reporterzy od sztuki mogą być i komiwojażerami od literatury, a jest rzeczą inteligentnie czytającego ogółu odróżnić ziarno od mierzwy, strzedz się wszelkim sprytem od czytania elukubratów tych panów, co kolportują modernizmy (byle był na nich stempel *„on lit ça à Paris“*), unikać starannie jaskrawie secessyjnych okładek, po za którymi zwykle arogancja reportera reklamisty opowiada o arogancjach „ulubionych modnych“ pisarków.

Holenderski genialny pisarz Edward Douves-Dekker, jak dotychczas, na rynkach i targowicach jest jeszcze „nie odkrytym“. Cieszmy się w cichości i poznajmy genialnego buntownika z tego kraju, o którego krowach, tulipanach i śledziach

tylko mamy bardzo szczegółowe pojęcie, poznajmy go, zanim jego pamięć, całego życia pracę i fenomenalność orientalnego temperamentu pisarskiego obrzydzą nam doszczętnie paryscy fabrykanci „*causeries*“ i berlińskie żydki. Jak Otello, Lambro i Płoszowski na tysiąc rozdzieleni, dadzą trzy tysiące łotrów, rzezimieszków i kawiarnianych Hamletów,—tak i kiedyś Multatuli, pod piórami skrzypiącemi referentów literatury bieżącej, zostanie magazynem cytat partyjnych, straszydłem na snobów przeciwnego obozu, piłą towarzyską na herbatkach pań, opiekujących się biedną Hagarą na puszczy; Sztuką, dziewicą upadłą, a tak piękną, tak piękną... Tymczasem jeszcze najpotężniejszym urokiem wielkiego rewolucjonisty ducha Holandji jest ta okoliczność, że bliźni nasi mało, lub nic o nim nie wiedzą, że na cześć jego nie pieją hymnów banalności, ani kwestjonują jego talentu, ani nie „rozbierają“ jego twórczości, co jak wiadomo, ze wszystkich rozbierań w niezgrabnych rękach niepowołanych, najgorszą jest plagą piśmiennictwa. Tak tedy Multatuli, popularny i wielbiony w Holandji, tak jak w Rosji Tołstoj, na Północy Ibsen, w średniowieczu Giordano Bruno, Luter, Huss, Savonarola, myśliciele i wojownicy, Prometyda,—w metropolji snobizmu europejskiego, Paryżu, jest zgoła nieznanym, ergo. nigdzie, a w Niemczech poza sferę publiczności miesięczników jeszcze nie wyszedł. I to jest dla dyletanckich podniebień intellektualnych smakoszów kontemplatorów największym urokiem, ta błoga świadomość, że się wchodzi w krainę nieznaną ani z podręczników literatury najmodniejszej, niepokalaną stopami gnomów i sylfów redakcyjnych, że się poznaje indywidualność, do której swojska fama nie może jeszcze dolepić jakiegoś epitetu dekadencko-symbolicznego z prostej przyczyny, bo jej nie zna. Nietscheaniści porozdzierali w strzępy niebotyczne ściany i wiązania, wieżyce i łuki koronkowej architektury tego fantasty, który ani myślał, że pustym, a brzmiącym cymbałom ludzkim daje poetyczną dogmatykę dla ich duchowej pustki i dysonansami nieskończonymi brzmiącej frazeologji. Nietschego dzieło żywota zbrudzili wielbiciele; jak na śpiącego Gulliwera, tak na epokową puściznę olbrzyma wdrapały się rzesze małoludków i kiedy spał snem obłędu, odmierzyły i skroiły dlań, uszyły pstrą szatę klowna i ubrały go w nią małoludki!... Multatuli małą ma jeszcze gminę wielbicieli, a do niej wchodzą, bez patosu uroczystego i zaklęć o pogardzie do ludzkości, dążącej do coraz jaśniejszego szczęścia, ci, dla których wędrówki z Zaratustrą mogły być tylko szalonym młodzieńczym djonyzejskim epizodem, a po tym epizodzie dnie pracy, wyszlachetnionej, namiętnej, celowej pracy. Zresztą i sam Nietsche przeszedł po za rogatki absolutnego egoizmu i illuzoryczną wiarę w idealnie najdoskonalsze wydoskonalenie wybranych mężów królewskich. Najgłębszy współczesny myśliciel, Maeterlinck, mozolnie konstruuje religję maluczkich, marząc o tem, by cała ludzkość była ludzkością królewską, a królewski trybun ludu, Multatuli, jest bratnim duchem Tołstoja i Emersona. Jeżeli zaś z atmosfery Multatulego, z świętych buntowniczych tradycji, wyłoni się jakaś nowa eleuteria, to będzie to eleuteria nie magów, ani efebrów, nie marzycieli ani aktorów, ale silnie zwarte koło jasnych głów i szerokich ramion, którymi podważą się głazy starej wieży Babel, jaką bezsprzecznie jest wszelkie współczesne społeczeństwo bez różnicy stref i klimatów.

Holandji przypadł zaszczyt, że urodził się w jednem z jej miast, Amsterdamie, w r. 1820 kapitanowi statku handlowego, Douves - Dekkerowi, synek Edward, przyszła zakała i hańba rodziny, dla ojczyzny zaś przyszły: „nowy Herostrat“, jak go milutko nazwało jakieś pismaczysko w piśmie: „Gravenhaagische Nieuwsbode“. Sfera, wśród której pędził dzieciństwo, jak każda sfera, mniejsza o to: ludowa, mieszczańska, czy książęca w odniesieniu do fenomenu dziecka wyjątkowego, o uduchowionej anormalnej inteligencji i nieproporcjonalnej do otoczenia szlachetności,—sfera rodzinna sentymentów była mu niesłychanie przykrą i obcą. Filistry holandzkie, maklery w przedsiębiorstwach kawy i cukru, merkantylne inteligencje, kupieckie horyzonty, ludzie urodzeni z metrem, wagą i namiętnością zysku, śmierdzące indygiem i szafranem kobiety kucharki i spekulujące a konkurujące z sobą zawistnie egzemplarze *species: homo*, oto podłoże patrjarchalne, środowisko, z pod którego musiał się prędko emancypować. Stary Dekker przeznaczył go sakramentalnie do handlu, więc młody, po skończeniu gimnazjum, musiał jakiś czas handlować, co ostatecznie w rezultatach objawiło się bardzo korzystnie, gdyż nie masz złośliwszej satyry w całej literaturze współczesnej na ten stan, na tę kastę w Holandji zgoła oligarchiczną, nad te fragmenty, rozsypane w całej jego produkcji literackiej, a już najsilniej w powieści pt.: „Max Havelaar, czyli akcje kawowe niderlandzkiego Towarzystwa handlowego“. Ostatecznie jednak mały Edward tęsknił za egzotyzmem i za jakąbądź cenę przedsięwziął porzucić maklerów, jobberów i ich interesa. Został urzędnikiem kolonialnym w izbie rachunkowej, stacjonowanym w Batavii na wyspie Jawie. Awansował bardzo szybko, tak, że po dwunastu latach został asystentem-rezydentem naprzód na wyspach Moluckich, następnie we Wschodniej Jawie, w Lebaku.

Stanowisko to bardzo wysokie, niejako namiestnika prowincji, zawisłego tylko od wicekróla z Batavii, zadecydowało wreszcie o przyszłym kierunku jego trybuńskiej działalności. Trzeba tu dodać informacyjne szczegóły o olbrzymiej wówczas potędze kolonji holenderskich, o tych 30 miljonach krajowców Malajów, zamieszkałych na najpiękniejszych ziemiach i wyspach kuli ziemskiej, o tej brutalnej perfidji wszelkiej, a już specjalnie holenderskiej polityki kolonjalnej, która pozwalała, aby prowincjami tytularnie rządzili książęta z ro-

dów jawańskich, jako urzędnicy holenderscy z doradcami, namiestnikami, rezydentami Holendrami o absolutnej władzy despotycznej. Książątka jawańskie były pośredniem ogniwem między ludnością a rządem kolonialnym, a opierając się na potędze i autorytecie holandskim, wyzyskiwały, prześladowały, zdzierały i okradały swych poddanych, z resztą znaną, z wściekłości i zapamiętałości wschodnich tyranów. Do jakich zaś dochodziło kresów to rozbestwienie satrapów jawańskich, tolerowane przez rząd, bo dogodne, bo zniewalające książątka do najuleglejszej, najwdzięczniejszej przyjaźni i lojalności, tego dowody porozsypywane są fragmentarycznie w powieści Multatulego: „Max Hevelaar“, która w literaturze europejskiej ma, czy powinna mieć taki walor jak: Chatka wuja Toma pani Beecher Stove dla amerykańskiej. Asystent rezydent królewski, Douves-Dekker, oddał się swemu urzędowi z zapałem i gorliwością, ale zarazem z tendencją i celem, zupełnie niestosownym dla tak wysokiego dygnitarza. Chciał bowiem niemiły ten wichrzyciel rozpocząć daleko idące reformy polityczno-administracyjne, któreby pozwoliły cokolwiek odetchnąć okradanej i rzezanej ludności, chciał pociągnąć kacyków malajskich, przesadnie rozbijających się po krajach podległych, do surowej odpowiedzialności i w tym kierunku rozpoczął ten mąż inicjatywy mądrą, szeroką, dzielną akcję. Jego książątko było właśnie jakby sekcyjnym egzemplarzem satrapy malajskiego, spędzało lud pod broń w czasie żniw, posiepaki książątka wykradały rodzinom bawoły ostatnie i córki przystojne, dokoła panował głód, paliły się wsie całe, ludność emigrowała tłumnie, zdziczenie, mord, pożoga, a ponad wszystkiem straszne nieprzebłagane epidemje, wyniszczały tę ludzkość rosłą, piękną, niegdyś zuchwałą i szczęśliwą, a dziś dzięki cywilizacyjnym dobrodziejstwom wynędzniałą i ogłupiałą do ostatnich granic upadku.

W dygnitarzu holenderskim żywym blaskiem rozpłomienił się jakiś nienormalny, bezowocny altruizm, który doprowadził go tylko do całego steku konfliktów z otoczeniem, rządem, ze wszystkimi i po tytanicznych wysiłkach i walkach, w konsekwencjach słusznych przyniósł ...dymisję. Po ostrej dyscyplinarce, niepoprawny reformista i awanturnik dostał ostatni list od wicekróla generalnego gubernatora z Batavii, pana Duymaera van Twist, adresowany już do „byłego asystenta J. K. Mości pana Dekkera“, a książątko z Lebaku, noszące piękne, choć długie imię Radhen Adhipatti Karta Natta Negara mogło dalej swobodnie nosić na połyskującym brzuszku złoty order niderlandzkiego lwa, rwać krociami wianuszki z główek tych dziewczątek malajskich, które, jak wiadomo, tak ogromnie kochał i chwalił Baudelaire, mógł dalej na wachlarzowatych palmach wieszać ojców i mężów. Głupi idealista wracał po osiemnastu latach dygnitarstwa w koloniach do Europy, jako przeciętny śmiertelnik, emeryt sua sponte, zostawiwszy żonę piękną . . . u brata Jana, plantatora tytoniu w Rembang na Celebes, panią Everdinę Hubertą, z domu baronównę von Wijubergen, z synkiem i córeczką. Na tem zamyka się pierwsza połowa jego życia, wstęp, uwertura, w której los nagromadza i układa szereg zewnętrznych zazębień i motywów, w której okoliczności, fakta, otoczenie, presje, tradycje, doświadczenia, dezilluzje, wszystko potężnie, bezpośrednio wpływa na ukształtowanie się organizacji artystycznej.

Odtąd już w najfatalniejszych warunkach materjalnych, na włóczędze po poddaszach hotelowych Bruxeli i Amsterdamu, w nieopalanych pokoiczkach przy łojowych świeczkach, szukając ciągle posady, walcząc z determinacją, z wierzycielami, pisał jakby pamiętnik swój, biografję krwawą pewnego „pana w szalu“, który mieszka na dalekiem przedmieściu amsterdamskiem z żoną, dziwacznie się ubierającą. „Pan w szalu“ napisał ogromne dzieło, składające się z tysiąca rozmaitych artykułów, studjów, hypotez, referatów, czasem specyficznie z stosunków kolonialnych holenderskich i dzieło to chce drukować. Douves-Dekker bowiem sprowadził rzeczywiście żonę z dziećmi z Indji, a kiedy familja żony zerwała z nią wszelkie stosunki z powodu, że nie rozwodzi się z tym człowiekiem, który już uchodził za marzyciela półgłówka, biedna rodzinka Dekkera wpadła w nędzę najskrajniejszą. Wtedy ukończył Dekker swą pierwszą pracę, która wreszcie w r. 1860 wyszła pod pseudonimem Multatulego, tj. tego który wiele cierpiał... jak u Horacego *multa tulit fecitque puer sudavit et alsit*. I przeszedł dreszcz wielki po całym kraju, jak w parlamencie holenderskim charakteryzował przyjęcie tej książki deputowany Hoëvell, był to ogromny głaz przygnębienia moralnego, jaki padł na mrowisko społeczne, bomba na oportunizm kupieckiego mieszczaństwa. Jednym gestem ręki zuchwałej odsłaniał nieznany, a sławny Multatuli potworną, ropiącą się ranę społeczną, pokazywał, na jak glinianych podstawach spoczywa ten przepych jednego z najbogatszych narodów na świecie, na jakich zbrodniach, mordach i grabieżach opiera się ustrój kapitalistyczny szczęśliwej ojczyzny. Był to akt oskarżenia i fakt sztuki, wulkaniczny wybuch oburzenia, idącego z serca i wołanie prorocze o poprawę i anti-akcję na wszystkich polach politycznego życia, utwór literacki, ale co więcej, akt żelaznej społecznej woli i trybuńskiej inicjatywy.

(D. n.) *Adolf Nowaczyński.*

Cienie chińskie.

I.
Uang-Ming-Tse*).

Słońce zachodziło nad doliną Uang-Mo-Chi. Miedziane jego światło ślizgało się łagodnie po kwitnących wzgórzach i rzucało tu i ówdzie na uprawne ich stoki długie cienie od przysadzistych drzew pomarańczowych, od smukłych, wachlarzowatych palm i wysokich, drżących bambusów. Z powiewami ciepłego wiatru płynęły nad okolicą szmery ciche, srebrne i jednostajne, gdyż była to pora spuszczania wody z górnych pól ryżowych na dolne. Wszędzie więc lały się jej potoki. Blado przebłyskiwały na tarasach pagórków, z pod jasnych aksamitów opuszczanych runi ryżowych, z pod ciemnych szczotek trzcin cukrowych; w biegu rozświetlały na pochyłościach gąszcze gajów, gdzie kwitły żółte i karminowe azalie, gdzie wiły się poczwarnie rdzawo-liste, dające olej, dryandry, gdzie zwieszały się wiotkie gałęzie— krocienie łojowe, podobne do brzóz. Coraz szerzej rozlewały się wody w dole wśród rudych, świeżo spulchnionych pól, tworząc plamy i smugi błękitno-srebrne.

Pod niebem pogodnem ta ziemia jasna, szmaragdowa, przetkana połyskliwemi nićmi i płatami wody, podobna była zaiste do bogatej, wzorzystej lamy, wschodniej.

Środkiem doliny toczyła poważnie muliste fale szeroka Ta-Szuej-Chi, ujęta w potężne groble i wały ochronne. Gęsto lśniły się wzdłuż jej brzegów porcelanowe szare, błękitne, czerwone dachy miast i miasteczek, żółte, potrójne kapice pagód skrzyły się wśród drzew, jak sterty szczerego złota. A dalej, na dolinie, świeciły wkoło jasne fanzy wieśniaków, liczne, jak roje gwiazd. Białe ich mury tonęły zwykle w zieleni sadów, ale polewane, ciężkie, rogate dachy wznosiły się wszędzie ponad otoczeniem, aby dobroczynne Fong-Szujej mogły je obwiewać oraz stały na wzniesieniach, aby zdradliwe, Fong-Szujej podziemnych wód nie psuły podwalin słupów budowli, nie zatruwały swym oddechem ich mieszkańców.

Niedaleko fanzy, krytej czerwoną dachówką, na szczycie wzgórka, zasadzonego krzewami herbaty, pracowało dwóch ludzi, ubranych w niebieskie, nankinowe szarawary i podobne kurtki. Pełzali, zgięci nizko, wśród szeregów szarych niepokaźnych drzewek, pełli chwast, spulchniali ziemię i zasycali odarte już z liści rośliny garstkami kompostu. Duży, opleciony słomą imbryk porcelanowy i zwierzchnie ubranie wieśniaków leżały opodal.

Starszy pracował pilnie, nie podnosząc na chwilę głowy, młodszy chwilami spoglądał ukradkiem na sąsiedni wzgórek, gdzie również widać było pracowników i skąd dolatywały wesołe dźwięki Sin-Fa, śpiewanej przez kobiety. Stary dostrzegł przelotnie jego spojrzenie i nachmurzył się:

—Spiesz się, A-Pe! Słońce już nisko. Co powiedzą sąsiedzi, gdy zostawimy na uroczyste święto rodzinne kilka krzewów, niezasilonych strawą. Daremnie spoglądasz na zachód: nie z tej strony ma przyjść dla ciebie szczęście...

A-Pe opuścił głowę i drobne jego ręce szybko zamigały nad ziemią.

— Ojcze, wszak wróżby zmieniają się czasem! — wyrzekł po chwili.

— O, tak! Wróżby zmieniają się czasem, ale rzadziej zmieniają się moje postanowienia...

Nie mówili już do końca roboty. Gdy, zabrawszy imbryk i zarzuciwszy na plecy wierzchnie ubranie, schodzili z pagórka, słońce zaszło i nagły zmrok napływał od wschodu. Na ciemniejącej ziemi zapalały się mnogie światła. Z okolicznych pól kupki pracowników ciągnęły zwolna ku chatom. Z poblizkiego gaju wyszły dwie kobiety z gronem dzieci i poczęły grzbietem kamiennej balustrady okrążać nieduże pole ryżowe, przylepione, niby gniazdo jaskółcze, do stromego pagórka. Potężne słupy z nieciosanych głazów podpierały je z dołu. Woda kapała po omszonych kamieniach, które gęsto oplatały zwoje lijan i bluszczu. Dzieci szczebiocząc, biegły tuż nad przepaścią, ale kobiety, dostrzegłszy mężczyzn w dole, cofnęły się w zarośla. A-Pe mimowoli już w pobliżu domu jeszcze raz głowę w ich stronę obrócił. Ojciec udał, że nic nie widział. Na podwórku, otoczonem wysokiem obmurowaniem, zastali już dwunastoletniego I-Po, który tylko co przyprowadził bawołu ze spółkowego młyna.

— Zmęczyliście bydlę! — powiedział surowo Uang-Ming-Tse, dotykając ręką spotniałych boków zwierzęcia.

— Ziarno było cokolwiek wilgotne, ojcze! — bronił się I-Po.

— Właśnie! Niewinne bydlę cierpieć musi za lenistwo ludzi... Wytrzyj go słomą i wprowadź do obory!

W domu już czekały na nich z kolacją kobiety.

— Spóźniliście się! — rzekła żona Uanga, Ta-Niang, popychając zlekka ku ojcu małą Hong-Ju z miednicą, pełną gorącej wody i flanelą do wytarcia twarzy i rąk.

— Spóźniliście się!—powtórzyła babka, siwa, wyschnięta, jak szkielet, staruszka, wysuwająca się z bocznego wejścia.

— Tak, matko! — odparł Uang. — Spóźniliśmy się, gdyż nie chcieliśmy porzucić nieskończonej roboty. Dziś wszyscy później zeszli ze wzgórz...

Podsunął matce krzesło i sam siadł przy stole, zastawionym małemi miseczkami z jadłem.

— Rok ciężki... Wszędzie brakuje rąk... Gdzie

*) Materjał faktyczny zapożyczyłem z dzieła G. Eug. Simona: *La cité chinoise*.

jednak podzieli się ludzie? Niektórzy nie skończyli jeszcze zbioru herbaty... Rodzina Czeng-Lin-Li... — wtrąciła Ta-Niang.

— Rodzina Czeng nie jest ostatnią... Źle tylko, że pozwalają córce śpiewać w rok smutku!

— Ach! Ona ma tak słodki głos: Za każdym razem zdaje mi się, że słyszę dźwięki dzwoneczków szklanych, które wiatr porusza — szepnęła babka.

(C. d. n.) *Wacław Sieroszewski.*

ALOJZY JIRASEK.

CHODOWIE.

Obraz historyczny.

Chmury zawlekły całe niebo, — do ostatniego skrawka. Cień ich padał na górską krainę, która przycichła w oczekiwaniu rzeźwiącego deszczu.

I znowu było popołudnie niedzielne. Od bytności Hanki we dworze terhanowskim minął tydzień. Młoda gosposia siedziała w cieniu lipy przed domem, w towarzystwie teściowej, Rzehurzka i gościa. Tym ostatnim był najstarszy syn Krzysztofa Hrubego. Przyszedł odwiedzić krewnych i oznajmić im, że wybiera się do Pragi, aby dowiedzieć się bliższych szczegółów o ostatnich chwilach ojca nieboszczyka. Mówił też, że dołoży wszelkich starań, aby uzyskać widzenie się z Janem.

Na te słowa Hanka, która nie mogła wciąż jeszcze przyjść do siebie po rozmowie z Lammingerem, ożywiła się nagle i jęła wnet układać sobie w głowie, że gdyby młodemu Hrubemu pozwolili zobaczyć się z Janem, w takim razie i ona pośpieszy po raz drugi do stolicy, bo tem bardziej ją, jako bliższą uwięzionemu, odtrącić nie będą śmieli...

Marzenia Hanki przerwał głuchy jakiś wark. W pierwszej chwili sądzono pod lipą, że burza nadleciała nagle. Lecz nie, to nie był huk grzmotu, to wir bębna ozwał się niespodzianie na placu przed wójtowstwem. Oto powtarza się znowu i znowu...

Wszyscy, mężczyźni i kobiety, rzucili się ku wrotom, sądząc, że wojsko wkroczyło do wioski...

Mylili się: na placu stało jeno dwóch, znanych im jeźdźców: pisarz z zamku terhanowskiego i muszkieter, który bił w bęben z taką zapamiętałością, jak gdyby chciał zwołać cały świat. Jakoż wkrótce gęsty tłum otoczył jeźdźców. Muszkieter przestał bębnić, a pisarz wyjął papier z za kabata, rozwinął go i zaczął czytać:

„W imieniu jego cesarskiej mości starosta kraju pilzneńskiego nakazuje, aby — podobnie jak to miało miejsce w stołecznem mieście Pradze i we wszystkich innych grodach królestwa — wyrok, wydany przez sąd najwyższy karny na zbuntowanych Chodów, a potwierdzony przez cesarza, — ogłoszony został również, przez odczytanie publiczne, we wszystkich wioskach chodzkich, — któremu to rozkazowi niniejszem zadość się czyni".

Gwar głosów, który słychać było jeszcze w tłumie przed rozpoczęciem czytania, ustąpił miejsca grobowej ciszy. Chodowie stali nieruchomo, jak posągi; oczy wszystkich zawisły na ustach pisarza... Siwowłosy Przybek aż do konia jego się docisnął. Maryna oczekiwała z płonącą twarzą wyroku na narzeczonego.

Na brzegu tłumu, stał Iskra Rzehurzek, przy nim Hanka, drżąca i blada, opodal nieco matka Jana z Pawełkiem. — Zorana zmarszczkami twarz wdowy przybrała siną niemal barwę, a w oczach paliły się iskry.

Pisarz czytał podniesionym głosem długi wyrok, który wymieniał wszystkie szczegóły, oraz dowody przewinień i zbrodni, spełnionych przez Chodów, a w końcu oświadczył, że sąd kryminalny skazał na śmierć trzech głównych przywódców, a mianowicie: Ecla z Klencza, Hrubego z Drażenowa i Jana Sladkiego, po przezwisku Kozinę, z Ujazdu; cesarz atoli w niezgłębionej swej łasce i miłosierdziu zatwierdził jeden tylko wyrok. Wobec tego więc, że Krzysztof Hruby zeszedł z tego świata drogą naturalną, sąd rozstrzygnął, aby karę śmierci przez powieszenie poniósł Jan Sladky, po przezwisku Kozina, chłop nader wymowny a niebezpieczny, który złożył dowody największej zaciętości w zbrodniczych uczuciach i zamiarach, nie chcąc ani się upokorzyć, ani prosić o przebaczenie.

Dziwnych, a tak bardzo okrutnych uzasadnień Hanka już nie słyszała. Na pierwszą wzmiankę o wyrokach śmierci poczęła trząść się, niby liść osiczyny, a gdy czytający wymienił jej męża, jako skazanego, krzyknęła i padła na ziemię, jakby kosą ścięta.

Wypadek ów przerwał na chwilę czytanie wyroku. Tłum pogarnął się ku nieszczęsnej, kobiety jęły lamentować, Pawełek i Hanusia wybuchnęły rozpaczliwym płaczem. Rzehurzek przy pomocy sąsiadki uniósł zemdloną z ziemi i skierował się z nią ku najbliższej chacie. W ślad za tą grupą postępowała chwiejnym krokiem matka Jana. Koła ogniste latały jej przed oczyma, kurcz spazmatyczny ściskał pierś i gardło, a nie mogła sobie ulżyć wołaniem, płaczem, jękiem, jak gdyby nagły cios pozbawił ją mowy, wysuszył źródło łez w źrenicach.

Pisarz jął czytać dalej okrutny dokument. Inne wyroki brzmiały, jak następuje: Ecl z Klencza, który uniknął kary śmierci, skazany został na dziesięć lat twierdzy w Komarnie, nieobecny Brychta na dwa lata ciężkich robót do

Raby, Syka i młody Szerłowski na rok ciężkiego więzienia, wszyscy zaś inni, skazani przez sąd na lżejsze kary, a takich nie mały był poczet, zostali ułaskawieni przez cesarza.

Jakże głębokiem musiało być przekonanie Lammingera, że starł w proch dawną butę chodzką, jeżeli wysłał z okropnym wyrokiem pisarza pod osłoną jednego tylko muszkietera! I nie zawiódł się: ani jedna pięść nie podniosła się z tłumu na wysłańców pańskich, którzy odjechali spokojnie, bez przeszkody. Dopiero, gdy znikli z oczu zgromadzonych, podniosły się tam i ówdzie odosobnione okrzyki. Większość jednak pośpieszyła ku chacie, do której odniesiono zemdloną Hankę. Nieszczęsna żona! Nieszczęsna matka!

Wszystkie kobiety opłakiwały rzewnie jej los, a nawet i mężczyźni nie mogli zapanować nad wzruszeniem, patrząc na budzącą się do okropnej rzeczywistości biedaczkę. Inni, nie wchodząc do wnętrza, zatrzymywali się u sieni, kędy siedziała na schodkach stara matka Jana, jakby nieprzytomna, jakby niewiedząca, co się dokoła niej działo...

I Maryna Przybkówna, podobnie jak inne sąsiadki, wyszła z chaty, mając lica łzami zroszone. Obejrzała się raz jeszcze poza siebie na smutną gromadkę: dwie góralki odprowadzały Hankę i jej teściową do domu, obok nich postępował Rzehurzek, niosąc małą Hanusię i prowadząc za rączkę łkającego Pawełka.

O cóż znaczył rok więzienia, na który zasądzono jej narzeczonego, wobec okrutnego losu Jana! O nieszczęsny człowiek i nieszczęsna jego rodzina!

Pogrążona w smutnych rozmyślaniach, doszła do domu. W tej chwili zaczął deszcz kropić, wiatr szarpał drzewa w ogrodzie, grzmot, który i wpierw odzywał się zdala, zahuczał teraz nad samą wsią. Maryna, wszedłszy do świetlicy, obejrzała się wnet za dziadusiem. Nie było go ani tu, ani na dworze, ani u sąsiada. Wtem, gdy zapytywała o niego, stojąc we wrotach, ktoś jej powiedział, że widział starca idącego w kierunku Terhanowa.

W kierunku Terhanowa! Pocóż by tam szedł? Do kogo? — Maryna pobiegła szybko w ślad za dziadkiem.

Nie potrzebowała iść daleko. Stary Przybek stał, wsparty o czekanę na wzgórzu, z którego widać było zamek terhanowski. Wiatr rwał liście z rosnących tu krzewów i rozwiewał długie, siwe włosy starca, on jednak zdawał się nie zwracać na to uwagi, — zdawał się nie czuć kropel deszczu, nie słyszeć huku piorunów.

Ale kiedy błyskawica przerznęła niebo sinem światłem, pochylił się, jak gdyby śledził jej pomknięcie. Wtem Maryna stanęła przy nim.

— Dziadku, cóże haw czynicie?

— Chcę się doczkać, aże poseł boży uderzy hań, w dom onego zbrodniarza terhanowskiego...

— Alež, dziadku...

— Dyć jest jeszcze Bóg, dziewczę — i sprawiedliwość jest na niebie, chociaż ludzie wyżenili ją z tego świata!

Maryna z trwogą spoglądała na dziadka. Wiedziała, co ma na myśli, ale bała się, aby rozpacz nie pozbawiła go rozumu! Pozostała więc przy nim.

Burza szalała nad nimi, błyskawice rozjaśniały, jedna po drugiej, mroczne niebo, ale żadna iskra piorunowa nie padła na biały dwór pański, który się wznosił poniżej, na uboczy wolnych niegdyś gór chodzkich!

XXVIII.

Jesień powiała już mgłami, a Lammingerowie wciąż przebywali na zamku. Czemu tak długo? — Innych lat, bywało u nich o tym czasie gwarno i wesoło, gdy goście zjeżdżali się na polowanie, ale w tym roku nikt tu nie zaglądał. Samotność jednak nie ciężyła widocznie wysoko urodzonemu panu, bo twarz miał pogodną, zadowoloną, a niekiedy świeciła na niej radość wyraźna.

I jakożby świecić nie miała? Drugie żniwa poszły, jak z płatka. Chodowie przywykają powoli do ciężkiej pańszczyzny. Tego roku nie było już nigdzie, w żadnej wiosce, faktów nieposłuszeństwa, a tem bardziej oporu. Oh, ta burza mu się opłaci, a kary bujny wydadzą plon! Hardy ten lud upokorzy się, bez szemrania będzie dźwigał w przyszłości jarzmo poddaństwa. Wszak wysłuchali już w kornem milczeniu wyroku sądu, a wkrótce potem jęli wracać i ci, co się byli schronili do Bawarji, a zostali zasądzeni onym wyrokiem. Wrócił Brychta, — po nim zgłosił się młody Szerłowski, a przecież obaj twarde mieli karki... Teraz odsiadują już karę — i oni dwaj i dowcipny Ecl, — teraz, dzwoniąc łańcuchami, mogą zabawiać się do woli przypominaniem onych krotochwilnych ostatków!...

A Kozina? — Sąd w Pradze dobrze rozstrzygnął, — bardzo dobrze i dzięki mu za to! Młody ów buntownik należał do najniebezpieczniejszych — duszę ma hardą, niezłomną. A jak bardzo jest lubiony przez swoich! Najstarsi, najpoważniejsi gazdowie przychodzili ze wszystkich wiosek prosić o zmiłowanie nad nim. I jakże błagali gorąco, jak się upokarzali!

A wpierw jeszcze — wcześniej od gazdów — była na zamku stara matka skazańca. Służba — na rozkaz pana — nie puściła jej do wnętrza, więc stała od rana do południa u bramy, niby posąg boleści, jęcząc od czasu do czasu i podnosząc wyschłe ręce ku oknom pańskim. Po południu przyłączyła się do niej Hanka, która tu przyszła, nie wiedząc, że zastanie teściową.

Żal brał patrzeć na te nieszczęśliwe. Nawet zatwardziałego serca odźwierny czuł się wzruszony ich losem, a hrabina płakała, zamknięta w swoim pokoju na górze...

Potem już nikt nie przychodził do zamku. Dawna cisza zapanowała w nim wszechwładnie. Tylko

pan jego stał się ostrożniejszy i baczną zwracał uwagę na straże nocne, zwłaszcza od czasu, gdy dzień wykonania wyroku na Kozinie został ogłoszony.

Pan z Albenreuthu widocznie nie dowierza jeszcze Chodom, — widocznie obawia się, aby nie szukali na nim pomsty za śmierć swego ulubieńca. Obawia się tem bardziej, że nakazał, aby przedstawiciele wszystkich wiosek chodzkich byli obecni — w liczbie ośmdziesięciu sześciu — wraz z drobnemi dziećmi swemi, w Pilznie przy śmierci Jana. Chciał tym sposobem wrazić głębiej w ich pamięć krwawy fakt, — chciał, aby z pokolenia w pokolenie szła opowieść, jak ukarany został bunt chłopów przeciwko prawowitej władzy dziedziców... (C. d. n.).

* * *

Z Syberji i Kamczatki

przez dra Benedykta Dybowskiego.

(Ciąg dalszy)

Skoro się wieść rozniosła po Syberji „że Bismark wypowiedział wojnę Francji“, radość z tego powodu była ogólna, wszyscy bowiem byli przekonani, że Francuzi zwyciężyć muszą, więc, że Prusy zniszczone zostaną, co się im według sprawiedliwości Boskiej i ludzkiej dawno należało. Do nowej geny uśmiechano się z radością, cieszono się, że nareszcie nastała godzina kary na tę butę krzyżacką, na to źródło zarazy moralnej, szerzące dokoła siebie przewrotność, obłudę i cynizm.

Ale ciąg dalszy wojny nie odpowiadał oczekiwaniom, przekonano się, że radość była przedwczesną i że bez pomocy obcej Francuzi zwyciężeni zostaną. Wtedy w jeden takt zabiły serca Sybiraków, w jeden ton zlały się ich uczucia i wypadł głos entuzjazmu pełen „iść w pomoc Francuzom“.

Sybiracy, będąc przekonani, że Rosja we własnym, dobrze zrozumianym interesie, bronić musi Francji i że z tego powodu wypowie najniezawodniej wojnę Niemcom — sposobili się do czynnego udziału w tej walce, najpopularniejszej w świecie słowiańskim. Tworzono projekta rozmaite, zamierzano to pojedynczo, to gremjalnie prosić o przeniesienie do czynnej armji na zachód. Pułkownicy, noszący niekiedy i nazwy niemieckie, zamierzali na czele swoich pułków kozackich iść na tę wojnę „świętą“, poić swe konie w Łabie, Renie, Sekwanie.

Wśród powszechnego porywu myśli szlachetnej niesienia pomocy narodowi, któremu tyle idei wzniosłych ma do zawdzięczenia ludzkość, i niemniej szlachetnego i sympatycznego zamiaru zdeptania hydry nieprawości — element polski, więziony na Syberji, nie mógł pozostać obojętnym. Hasło: bronić Francuzów, bić Prusaków, znalazło odgłos w sercach wszystkich wygnańców, więc ucichły nienawiści z obu stron, podano sobie dłonie w imię wzniosłej idei, którą w czyn wprowadzić zamierzano tam, na zachodzie, w Europie. Marzono bowiem, że gdy się zwycięży Prusaków, zniesiony być musi militaryzm i że na gruzach tyranji, głoszącej zasadę: „siła przed prawem“ stanie drzewo wolności, rozpoczną się rządy cnoty.

Jak piękne i słodkie były marzenia, tak gorzką i wstrętną okazała się rzeczywistość. Pozwolono zdeptać Francję. Krzyk oburzenia zamarł w piersi, przywykłej do niewolniczego milczenia i zapanował znowu mrok moralny, znowu pięść krzyżacka zaciężyła nad cywilizacją, znów wznoszą posągi spiżowe, poświęcone potworom człowieczeństwa: Murawjewom i Bismarkom. Ale iskra, rozniecona w sercach szlachetnych, nie zagaśnie; tleć będzie, aż się zamieni z czasem w płomień, który potrafi spopielić potęgę złego.

Tylko nowy Grunwald zdoła zmienić na inne, panujące dzisiaj zasady, o nim marzą, jego oczekują, jak zbawienia ludy słowiańskie i w tem się nie omylił Kurylac.

Z pism i książek.

„Ekonomista“ Tom I-szy 1901 r. Warszawa.

Galicja ma dwa uniwersytety polskie, ale nie posiada rozwiniętego przemysłu, inteligentnej i związanej kulturalnie ze społeczeństwem polskim sfery handlowej; Królestwo posiada znaczne centry przemysłowe i handlowe, znaczniejszą ilość mieszczaństwa polskiego, bardziej spolszczone żydowstwo, trudniące się handlem i przemysłem, ale nie posiada uniwersytetów polskich, oraz wogóle pola pracy dla polskiej inteligencji, uprawiającej badania teoretyczne. W rezultacie tak Galicja, jak Królestwo nie posiadają warunków, odpowiednich dla rozwoju u nas nauk społecznych. To też nic dziwnego, że wobec szeregu warunków nieprzyjaznych czasopisma ekonomiczne u nas powstają rzadko i zdradzają znaczną śmiertelność.

W roku zeszłym powstał w Warszawie tygodnik »Ekonomista«, obecnie to pismo przeobraziło się na kwartalnik, ma wychodzić książkami od 12—14 arkuszy druku, co umożliwia zamieszczanie w niem obszerniejszych prac.

Przed nami leży tom pierwszy nowego czasopisma. Zawiera on szereg artykułów treści teoretycznej, oraz szerokie omówienie spraw bieżących ekonomicznych i sumienne sprawozdanie o nowych książkach z dziedziny ekonomji politycznej.

Najsłabszą stronę pisma stanowią niektóre rozprawy teoretyczne, w niem zawarte. Słabym i pozbawionym wszelakiej wartości naukowej jest artykuł p. St. A. Kempnera: »Teorja ekonomiczna i polityka społeczna«. Jest to przeżuwanie głośnej książki *Bernsteina*: „Zagadnienie socjalizmu“. Autor zatrzymuje się na nowszej krytyce Marksa, ale zdradza najzupełniejsze niezrozumienie tak tego myśliciela, jak i jego krytyków. Marks bynajmniej nie miał zamiaru, jak mu przypisuje p. Kempner, „z natury stosunków wytwórczych i wymiennych wyprowadzić reguły sprawiedliwości ekonomicznej“ i jego teorja wartości pracy nie jest, jak to zapewnia p. K.: „próbą równania matematycznego, która z funkcyj materjalnych pragnie wysnuć rozwiązanie moralne“, ale logiczną konstrukcją, mającą na celu ułatwić orjentowanie się w szeregu zjawisk ekonomicznych, jest, że tak powiem, niezbędną fikcją ekonomiczą. Niedopuszczalnem jest twierdzenie w nauce, użyte przez p. K.: „Na rynku występuje względna samodzielność prawideł gospodarczych, gdy poza obrębem rynku są prawa przyrodzone, społeczne i etyczne“. Tak więc p. K.: oprócz praw przyrodzonych i społecznych, wynajduje prawa rynku, tj. uogólnienie ekonomiczne, uogólnienie jednej z nauk społecznych, które nie są prawami społecznemi. Oczywisty brak wmyślenie się we własne słowa, oryginalność, pochodząca z niedostatecznej siły myślenia.

P. St. A. Kempner, niestety, jest członkiem redakcyjnego komitetu pisma i oto drugi członek komitetu redakcji „Ekonomisty“, p. B. Koskoski, podaje nam krytykę, a raczej apologję książki p. Kempnera: „Zarysy ekonomji społecznej“. Jednem z zasadniczych twierdzeń p. Kempnera jest, że „przed zreformowaniem porządku społecznego należy naprzód etycznie podnieść społeczeństwo“. Jest to rzecz całkiem nie nowa, wszak za czasów pańszczyźnianych głosili różni obrońcy pańszczyzny, że przed zniesieniem tej instytucji trzeba podnieść poziom etyczny chłopa, jak gdyby chłop poniżony przez pańszczyznę, mógł był podźwignąć się moralnie.

Z prac teoretycznych, zamieszczonych w „Ekonomiście“, najbardziej cenną jest rozprawa p. A. Szelągowskiego: „Pieniądz i przewrót cen w Polsce w XVI i XVII w.“ Jest to część większej całości i zawiera szkic o ekonomistach polskich XVI i XVII w., na których pracach odbiły się stosunki owych czasów.

Autor zatrzymuje się na pracy Kopernika o monecie. „Gospodarka Zakonu krzyżackiego pod koniec XV w. zrujnowała ekonomicznie miasta pruskie. To też od chwili przyłączenia części zachodniej Prus do Polski (1466) zaznacza się dążność do coraz ściślejszego spojenia tej prowincji z Koroną i Litwą. Przemawiały zatem interesy handlu, a pierwszym krokiem na drodze ekonomicznego zespolenia miała być unja monetarna, której rzecznikiem i najgorętszym obrońcą był Mikołaj Kopernik“. W sprawie tej, podał Kopernik memorjał w charakterze delegata z ramienia kapituły Warmińskiej na zjeździe w Grudziądzu w 1522. W kilka lat później (1526 r.) Kopernik rozszerzył i uzupełnił ten memorjał do rozmiarów traktatu ekonomicznego. W traktacie tem przemawia Kopernik za unją monetarną Prus z Koroną i Litwą, a to „dla pojednania umysłów i łączności handlu“.

Kopernik występował jako przeciwnik skażenia monety. Najbardziej zasadniczem jest twierdzenie jego, iż dobry pieniądz obok złego nigdy nie może utrzymać się w obiegu i że ten ostatni wyprze zawsze pierwszy. To twierdzenie, przyjęte przez ekonomję polityczną, nazywa się zwykle prawem Gredhama, od imienia finansisty angielskiego z czasów Elżbiety, który, jak sądzą zwykle, pierwszy je sformułował, chociaż w rzeczy samej w wykryciu tego prawa wyprzedził go Kopernik.

P. Szelągowski zatrzymuje się nad poglądami ekonomicznemi Frycza Modrzewskiego, Andrzeja Ciesielskiego, L. Śmigleckiego i Sokołowskiego. W pracy Sokołowskiego p. t. „Quaestor sire de parsimna“ znajdujemy wskazówki o zmianie obyczajów w Polsce w połowie XVI w. „Rzadkie było niegdyś u nich używanie wina, dziś jest najpospolitszem“. Wszystko, co obce, jest pożądanem, rzeczy domowe nie podobają się: ani żywność, ani odzież, ani służba, ani broń, ani konie. Kupcy muszą jeździć na krańce świata, do Indji, aby zaspokoić potrzeby obywateli. Więcej wydatków na miesiąc pochłania apteka (skład korzeni, cukru etc.), aniżeli jatka. Za stołem są podawane potrawy, których ani gość, ani gospodarz nazwać nie umieją. Konie sprowadza się aż z Arabji, inne towary — z Włoch, Francji, Niemiec, Anglji, Węgier i Mołdawji, nawet z Bizancjum. Szczególne zaś upodobanie do zbytku mają kobiety. „Niejedna z nich — mówi Sokołowski — którą mucha mogłaby udźwignąć, każe się wozić w poszóstnym zaprzęgu, który zdałby się na sześciu żołnierzy. Gdy przed laty suma dziesięciu tysięcy złotych wystarczałaby na posag królewnie, obecnie nie zadawalnia nawet zwykłego śmiertelnika. — Sprawozdanie nasze rozrosło by się nadmiernie, gdybyśmy chcieli uwzględnić zajmujące daty, zawarte tak w pracach p. Szelągowskiego, jako też i w innych artykułach „Ekonomisty“. Na szczególną zasługuje uwagę „Towarzystwo rolnicze“ w Danji, p. Piotrowskiego, oraz Kronika ekonomiczna.

Prace teoretyczne w I. tomie „Ekonomisty“ należą wyłącznie do szkoły historycznej w ekonomji. Z wyjątkiem pracy p. Szelągowskiego, wszystkie one pozostawiają bardzo dużo do życzenia pod względem znajomości omawianej kwestji. Cenne za to są prace w „Ekonomiście“ z zakresu polityki ekonomicznej i sprawozdania z ważniejszych objawów ekonomicznych chwili obecnej. W następnych tomach mają być szczegółowiej uwzględnione sprawy ekonomiczne Galicji.

Pomimo owych braków, I. tom „Ekonomisty“ jest cennym nabytkiem w naszej literaturze, to też życzymy powodzenia nowemu wydawnictwu.

Wł. Studnicki.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.